

NARODZINY ŚWIATA

Na początku był Chaos. Któż zdoła powiedzieć dokładnie, co to był Chaos? Niejedni widzieli w nim jakąś istotę boską, ale bez określonego kształtu. Inni — a takich było więcej — mówili, że to wielka otchłań, pełna siły twórczej i boskich nasieni, jakby jedna masa nie uporządkowana, ciężka i ciemna, mieszanina ziemi, wody, ognia i powietrza. Z tej napętnionej otchłani, kryjącej w sobie wszystkie zarodki przyszłego świata, wyłoniły się dwa potężne bóstwa, pierwsza królewska para bogów. Uranos — Niebo i Gaja — Ziemia. Oni dali początek wielu pokoleniom bogów.

Z ich małżeńskiego związku wyszedł wielki ród tytanów, wśród których najstarszy był Okeanos, bóg potężnej rzeki, co szerokim, błękitnym kręgiem opływa całą ziemię dokoła. Młodszym rodzeństwem tytanów byli kiklopowie (cyklopi) i hekatonchejrowie — sturęcy. Cyklopi, potwornego wzrostu, o dzikim wyglądzie, mieli jedno oko w środku czoła, a hekatonchejrowie o stu rękach przerażali swą siłą niezłomną. Uranos nie był zadowolony z tego potomstwa, które było szkaradne lub okrutne. Wszyscy oni napętniali go strachem i odrazą. Nie spodziewając się po nich ani wdzięczności, ani poszanowania swej władzy ojcowskiej, strącił ich w bezdenne czeluści Tartaru.

Stamtąd nie było już powrotu. Tartar rozciągał się tak głęboko pod ziemią, jak wysoko ponad nią roztacza się niebo. Kowadło z brązu, rzucone z wysokości nieba, leciałoby dziewięć dni i dziewięć nocy, zanim dosięgłoby powierzchni ziemi*. Podobnie długo, a może jeszcze dłużej wędrowałoby owo kowadło do głębin Tartaru, gdzie panuje noc potrójna. Ktoś, kto by tam wszedł, nie zdołałby przez rok cały dojść do ostatecznych granic tego bezmiaru ciemności, ów zabłąkany podróżny pielgrzymowałby bez przerwy, unoszony gwałtownym wichrem podziemnych huraganów. Wieść niesie, że gdzieś pośrodku tych straszliwych mroków stoi smutne dworzyszczce Nocy, otoczone nieprzeniknionymi chmurami.

Gaja słyszała jęk potępionych tytanów dobywający się z przepastnych wnętrzości ziemi. Znienawidziła wyrodnego ojca i zaczęła knuć spisek przeciw jego władzy bezwzględnej. Namowom matki uległ najmłodszy z tytanów — Kronos, dotychczas nie pozbawiony wolności. Uzbrojony w żelazny sierp, zaczął się na Uranosa, okaleczył go haniebnie i strącił ze świetlistego tronu niebios. Z krwi, która wyciekła z rany powalonego boga, zrodziły się trzy straszne boginie zemsty, Erynie, o włosach węzowych. Uranos, ukryty w błękitach nieba, zeszedł z widowni dziejów boskich.

* Łatwo obliczyć tę przestrzeń. Okazuje się, że w naszym pojęciu niebo greckie nie było zbyt wysokie. Droga

Razem z bogami rodził się świat. Nad ziemią, która jako ład stały wydobyła się z chaosu, świeciło młode słońce, a z chmur spadały deszcze obfite. Podniosły się pierwsze lasy i ziemię przykryła wielka, szumiąca puszcza. Po nieznanach wzgórzach błdziły rzadkie zwierzęta. Z wolna rzeczy zaczęły przybierać znajome kształty. Źródła znalazły swe groty, a jeziora wygodne kotliny; góry śnieżnym grzebieniem zarysowały się na jasnym niebie. Gwiazdy lśniły w ciemnych przestworzach nocy, a kiedy one bladły, ptaki wydzwaniały jutrzence swą pierwszą pieśń powitalną.

Nad światem rządził Kronos wraz z małżonką Reją. Był to władca ponury i podejrzliwy. Większą część uwięzionych braci pozostawił w otchłaniach Tartaru. Zachował w pamięci klątwę ojca, który mu przepowiedział, że i jemu syn odbierze berło. Każde więc dziecko, które powiła Reja, natychmiast połykał. W ten sposób pięcioro dzieci dostało się do potwornych wnętrzności tytana. Gdy urodziło się szóste dziecko, Reja podała Kronosowi kamień zawinięty w pieluszki. Kronos połknął kamień sądząc, że połyka syna.

Tymczasem Reja zesła na ziemię. Chciała umyć niemowlę, ale nigdzie nie mogła znaleźć źródła. Pomodliła się do Gai i uderzyła berłem o skałę. Z twardego głazu wypłynął jasny strumień wody. Wykapawszy małego, nadała mu imię: Dzeus. Powędrowała na Kretę i w złotej kołysce złożyła go w grocie idajskiej, której wejście osłaniał gęsty las, a po ścianach pełzały lśniące zwoje bluszczu. Dzeus chował się pod opieką nimf górskich, karmiony mlekiem kozy Amaltei. Dziecko kochało ją bardzo. Kiedy Amalteja złamała sobie jeden róg, Dzeus wziął go w swe boskie ręce i pobłogosławił, tak że odtąd napełniał się on wszystkim, czego zapragnął ten, kto go posiadał. Tak powstał róg obfitości, zwany rogiem Amaltei.

Złotą kołyskę nowego boga otaczała miłość całej przyrody. Gołębie znad brzegów Oceanu przynosiły mu ambrozje, a orzeł co wieczór nadlatywał niosąc w szponach kubek pełen nektaru. Pszczoły zbierały dlań miód najśłodszy. Jedna z nimf sporządziła cudowną zabawkę. Była to przezroczysta kula ze złotych pierścieni, między którymi wił się bluszcz. Gdy rzucona w powietrze spadała, zostawiała za sobą bruzdę jaśniejącą. Aby zaś płacz i kwilenie dzieciątka Dzeusa nie doszło do uszu czujnego Kronosa, kapłani Rei, kureci, wykonywali nad jego kołyską hałaśliwe tańce wojenne wśród grania bębnów, rogów i piszczałek.

Dzeus dorósł i wyszedł z ukrycia, miał teraz stanąć do walki z ojcem. Poradził matce, aby przede wszystkim dała Kronosowi potajemnie środek na wymioty. Wtedy Kronos, wśród straszliwych męczarni, wyrzucił z powrotem połknięte potomstwo. Był to wcale piękny zastęp młodych bogów: synowie — Hades i Posejdon, i trzy siostry — Hera, Demeter i

owego kowadła wynosiłaby zaledwie półtorej odległości Księżyca od Ziemi.

Hestia. Właśnie umarła dobra koza Amalteja. Nawet po śmierci oddała swemu wychowan- kowi jeszcze jedną przysługę, albowiem z jej skóry uczynił sobie Dzeus puklerz, którego nie mógł przebić żaden pocisk. Tak powstała egida, cudowna tarcza, którą Dzeus brał zawsze do bitwy. Pierwsza, którą stoczył, była przeciw ojcu. Polem walki były równiny Tesalii.

Kronos z tytanami zajął góry Otrys, Dzeus ze swoimi sprzymierzeńcami opanował śnieżne szczyty Olimpu. Dziesięć lat trwała wojna bez widocznego skutku, gdy Dzeus postanowił wprowadzić nowe siły do tych śmiertelnych zapasów. Uwolnił mianowicie z Tartaru cyklopów i sturękich, trzech olbrzymów, z których każdy miał sto rąk i głów pięćdziesiąt. W owym dniu wywiązała się zaciekle bitwa. Z gwałtownym hukiem morza mieszał się jęk ziemi i nieba. Pod nogami nieśmiertelnych drżał Olimp, a drzenie to dawało się odczuć w najdalszej głębi Tartaru. Z obu stron podnosił się zgielek nieopisany. Gwiazdy spadały z firmamentu.

Ze szczytów Olimpu Dzeus bez przerwy ciskał pioruny, które dniem i nocą wykuwali cyklopi. Gromy rozbiegały się po górach, a na równiny lał się ogień święty. Ziemia pękała w płomieniach, lasy całe paliły się jak smolne pochodnie. Morza i rzeki wrzały. Płomienne opary otoczyły tytanów, którym oczy ślepiły od niesamowitego blasku. Gwałtowne wiatry wzbijały tumany pyłu, zdawały się unosić w czarnych skrętach pioruny i błyskawice. Gdy na chwilę rozpraszaly się chmury, widać było w pierwszym rzędzie walczących trzech olbrzymich sturękich, którzy za każdym razem ciskali w tytanów trzysta skał, okrywając ich jakby chmurą kamienną. Lecz nie byli oni tak groźni jak pioruny Dzeusa, wobec których stawali tytanowie ogłuszeni i bezradni, albowiem nikt z nich dotąd nie widział tej straszliwej ognistej broni. Raz wraz któryś z nich padał omdlały i bezwładny, w potoku czerwonego światła i wśród przeraźliwego huku gromów. Wówczas olbrzymi sturęcy (hekatonchejrowie) chwyтали te ogromne ciała, z których, zda się, życie uciekło, i wrzucali je w przepaści Tartaru, między wygasłe i dymiące kratery, cuchnące bagna i lodowe góry, gdzie brał ich już w swe wieczyste posiadanie nieprzenikniony mrok i noc nieskończona.

Jak wprzód dostojny Uranos, tak obecnie Kronos zwał się w nicość zapomnienia, z której dochodziły już tylko słabe echa. U ludu nie mówiono o nim źle. Obchodzono ku jego czci prastare święto Kronia, podczas którego weselono się na pamiątkę złotego wieku, jaki za jego czasów panować miał na ziemi. Kronos nie posiadał ani świątyń, ani ołtarzy. W Olimpui istniało wzgórze jego imienia, a nie opodal stało szanowne Metroon, przybytek Rei, "matki bogów". Na posągach, które pojawiają się bardzo rzadko, wyobrażano Kronosa jako poważnego, starszego mężczyznę z brodą: głowę ma nakrytą połą płaszczą. Małżonkę jego, Reję, utożsamiali Grecy z azjatycką boginią Kybele i przedstawiali jako tęgą niewiastę na

wozie w lwy zaprzężonym, trzymającą gałąź lub wieniec dębowy i klucz, na głowie zaś miała diadem z obronnych wież i bastionów.

Nowe pokolenie bogów niedługo pożywało owoce zwycięstwa. Powstał przeciw nim ród gigantów, synów Ziemi. Jedni z nich byli podobni do ludzi, chociaż kształtów olbrzymich, inni mieli potworne cielska zakończone splotami węzłów. Z gór poprzierzucanych stworzyli barykady, aby się dostać na Olimp. Trwoga opanowała bogów, gdy posłyszeli z dołu idące okrzyki i ujrzeli na stokach swej świętej góry odważnych napastników. Dzeus tylko, spokojny i nieustraszony, wyznaczył każdemu z bogów stanowisko i sam jął razić wroga piorunami. Giganci nie ustępowali. Ciskane przez nich skały sypały się niby grad, a spadając do morza zostawały wśród jego fal jako wyspy. Pioruny nie wyrządzały im szkody. Dzeus, zajrzawszy do księgi Przeznaczenia, dowiedział się, że pokonać gigantów może tylko człowiek śmiertelny. Wtedy Atena sprowadziła Heraklesa.

Zaczął się ostatni dzień walki. Dookoła Heraklesa skupili się wszyscy bogowie i wszystkie boginie. Bohater nakładał co chwila strzałę na cięciwę i szył w zbitą gęstwą nacierających. Nagle przyszedł mu z pomocą nieoczekiwany sprzymierzeniec. Dionizos nadciągnął z czeredą swoich satyrów siedzących na osłach. Kłapouchy, popędzane żegadłami, zmieszane wrzawą wojenną i widokiem dzikich postaci gigantów, podniosły ryk tak okropny, że bezmyślny, nieopanowany popłoch ogarnął nieprzyjaciela. W rozsypce łatwo już było dobić uciekających. Pozostał tylko jeden, piękny i wspaniały Alkioneus. Ten pierworodny syn Ziemi drwił ze wszystkich ciosów, albowiem wystarczało mu dotknąć tego miejsca ziemi, na którym się urodził, a natychmiast goiły się rany i wracały mu świeże siły. Herakles porwał go, zaniósł daleko poza granice jego ojczyzny i tam zabił.

Ta walka bogów z gigantami była po wszystkie wieki dla sztuki greckiej niewyczerpanym źródłem natchnienia. Triumf doskonałości, szlachetności, inteligencji nad brutalną, potworną siłą zwierzęcą, opiewany w wierszach poetów, błyszczał pełną chwałą w niezliczonych płaskorzeźbach świątyń, na malowidłach, na rysunkach waz greckich. Po wojnach perskich Grecy chętnie widzieli w scenach gigantomachii symboliczne przedstawienie ich własnych zmagañ z przemocą barbarzyńskiej Azji.

Giganci byli dziećmi Gai. Sędziwa bogini nie mogła przebaczyć bogom, że tak okrutnie wytępił jej potomstwo. Uniesiona pragnieniem zemsty wydała na świat najstraszliwszego potwora, jakiego kiedykolwiek oglądało słońce. Nazywał się Tyfon. Od głowy do łądźwi miał ciało olbrzyma ludzkiej postaci, a zamiast nóg wiły się sploty węzłów. Całe ciało miał upierzone, tylko na głowie i brodzie jeżyły się włosy szpecinowate. Wzrostem najwyższe góry przenosił i aż do gwiazd sięgał. Gdy rozłożył ramiona, palcami

lewej ręki dotykał miejsca, skąd słońce wschodzi, a prawa dłoń nurzała się w mrokach dalekiego zachodu. Największymi skałami rzucał jak piłką. Latał w powietrzu napelniając je krzykiem i sykiem. Z paszczy płynęła mu wrząca smoła, a ogień buchał ze ślepiów.

Kiedy bogowie ujrzeli tego potwora u bram niebieskich, ogarnął ich popłoch. Uciekli do Egiptu, gdzie zmienili się w zwierzęta, żeby ich Tyfon nie poznał. Dzeus sam jeden stanął do walki z żelaznym sierpem, okrutną bronią, którą niegdyś Kronos okaleczył swego ojca, Uranosa. Tyfon, zraniony, broczył krwią tak obficie, że góry trackie zabarwiły się na czerwono i odtąd zwano je Hajmos — góry krwi. Na koniec osłabł zupełnie. Dzeus przywalił go wyspą Sycylią. Ilekroć Tyfon stara się wydobyć z tego więzienia, ziemia sycylijska drży, a przez krater Etny bucha ogień z paszczy pokonanego potwora.

Pamięć o tych walkach nie wygasła i dziś wśród ludu greckiego, chociaż tyle wieków upłynęło i tyle się zmieniło na starej ziemi Hellenów. Ale w pojęciach współczesnego chłopca greckiego zlały się postacie tytanów, cyklopów i gigantów w jedną całość. Opowiadają sobie po wsiach o jakichś olbrzymach, zwanych gigantami, nadludzkiego wzrostu i niezwyklej siły, co mają jedno tylko oko w środku czoła, błyszczące jak ogień, i noszą bardzo długie brody. Ojcem ich jest pewien diabeł, a matką jakaś czarownica. Mieszkają w głębi ziemi, gdzie budują olbrzymie gmachy, kładąc wielkie głązy jeden na drugim. Podczas trzęsienia ziemi mówią chłopci: "Na pewno znów jakaś budowla gigantów się wali". W podziemiach zamknął ich Pan Bóg za to, że kiedyś zbuntowali się przeciw niemu.

Kiedy Dzeus osiadł tron niebieski, ludzie już byli na ziemi i przed ich zatrwożonymi oczyma rozgrywały się walki bogów o panowanie nad światem. O powstaniu rodu ludzkiego różne były podania: że wyszedł wprost z ziemi, wspólnej macierzy wszystkiego, co żyje; że lasy i góry wydały ludzi na podobieństwo drzew i skał; że ludzie pochodzą od bogów — tego mniemania byli zwłaszcza królowie i szlachta. Najchętniej jednak przyjmowano baśń o czterech wiekach ludzkości.

Najpierw był, oczywiście, wiek złoty. Panował wtedy Kronos. Rzeki płynęły mlekiem, z drzew sączył się miód najprzedniejszy, a ziemia rodziła wszystko w obfitości, nie przymuszona pracą rolnika. Ludzie żyli jak niebianie, bez trosk, bez trudów, bez smutków. Ciało ich nie starzało się nigdy i żywot swój trawili na nieustannych biesiadach i zabawach. Z upadkiem Kronosa skończył się wiek złoty, a ówczesni ludzie zmienili się w dobroczynne demony.

Następne pokolenie było srebrne, a więc znacznie lichsze. Ludzie rozwijali się bardzo powoli. Okres dzieciństwa trwał u nich sto lat, a kiedy dochodzili do wieku dojrzałego, życie ich było krótkie i pełne zgryzot. Byli źli i dumni, bogom nie chcieli składać ofiar ani czcic

ich, jak należy. Dzeus wytepił ich do ostatniego, lecz w pamięci ludzkiej pozostali oni jako dusze błogosławione.

W wieku brązowym żyło plemię gwałtowne, miłujące wojnę. Ludzie mieli siłę olbrzymów i serca twarde jak kamień. Żelaza nie znali. Wszystko sporządzali z brązu: i mury miast, i domy, i sprzęty, i oręż. Był to okres heroiczny. Wówczas żył wielki Herakles i dzielny Tezeusz, i bohaterowie spod Teb, i spod Troi. Dokonywano czynów tak niezwykłych, jakie już nie powtórzyły się w wieku następnym, żelaznym, który trwa do dzisiaj.

Inne podania głosiły, że człowiek jest tworem jednego z tytanów — Prometeusza, który ulepił go z gliny pomieszczonej ze łzami. Duszę zaś dał mu z ognia niebieskiego, którego parę iskier ukradł z rydwanu słońca. Niedaleko miasta Panopeus pokazywano chatę z cegieł, gdzie Prometeusz ongi dokonywał swej pracy. Dokoła leżały odłamki gliniastej ziemi, a szedł z nich zapach jakby ciała ludzkiego. Były to bowiem resztki nie zużytego materiału. Dziś jeszcze czerwona ziemia beocka przypomina baśń o stworzycielu rodu ludzkiego.

Człowiek Prometeusza był słaby i nagi. Palce miał zakończone zbyt kruchymi paznokciami, by mu były obroną przed pazurami dzikich zwierząt. Jedynie jego postać, niepodobna do otaczających stworzeń, była widocznym obrazem bogów. Brakowało mu tylko ich siły. Niby mdłe zjawy senne błądzili ludzie, bezradni wobec potęg przyrody, której nie rozumieli. Wszystkie ich czyny były nieświadome i bezładne. Widząc to Prometeusz ponownie zakradł się do wielkiego spichlerza ognia niebieskiego i przyniósł na ziemię pierwsze zarzewie. W siedzibach ludzkich zapłonęły jasne ogniska ogrzewając mieszkańców i płosząc drapieżne bestie. Mądry tytan uczył ludzi umiejętnego używania ognia, sztuk i rzemiosł.

Nie podobało się to Dzeusowi. Mając w pamięci niedawną walkę z gigantami, obawiał się wszystkiego, co pochodzi z ziemi. Kazał wtedy Hefajstosowi, z bogów najbieglejszemu we wszystkich kunsztach, stworzyć kobietę cudnej urody, na wzór bogiń nieśmiertelnych. Gdy misterne to dzieło już było gotowe, Atena nauczyla pierwszą niewiastę pięknych robót kobiecych; Afrodyta otoczyła jej oblicze wdziękiem i w oczy wlała urok uwodzicielski; Hermes dał jej skryty i pochlebny charakter wraz z darem kuszącej wymowy; w końcu ubrano ją w złoto i uwieńczono kwiatami. I nazwano ją Pandorą, albowiem była ona darem dla ludzi od wszystkich bogów i każdy z bogów obdarzył ją jakąś szczególną właściwością. W posagu otrzymała glinianą beczkę szczelnie zamkniętą, której zawartości nikt nie znał.

Tak wyposażoną Pandorę zaprowadził Hermes, posłaniec bogów, na ziemię i zostawił ją przed chatą Prometeusza. Mądry tytan wyszedł przed dom przyjrzeć się pięknej nieznajomej i od razu zwietrzył jakiś podstęp. Nie przyjął jej więc, ale odprawił i innym

doradzał tak samo postąpić. Lecz Prometeusz miał brata nie bardzo rozumnego, imieniem Epimeteusz, co się wykłada: "wstecz myślący". Ten nie tylko nie wygnał Pandory, lecz natychmiast z nią się ożenił. Pandora ciekawa była zajrzeć do owej beczki, którą bogowie dali jej we wianie. Ale przyszedł Prometeusz, odwiódł brata na stronę i przestrzegwał: "Niemądry Epimeteuszu — rzekł — zrobiłeś już jedno głupstwo, żeś tę niewiastę, na zło chyba stworzoną przez bogów, przyjął do domu. Nie czyn przynajmniej drugiego głupstwa i nie otwieraj beczki ani żonie nie pozwalaj, bo tak mi się zdaje, że w niej jakieś wielkie лихо siedzi". Epimeteusz przyrzekł, że się nad tym zastanowi. Miał zwyczaj myśleć bardzo długo i powoli, tak że zanim zdążył rozważyć słowa brata, szybko mówna Pandora nakłoniła go do otwarcia beczki. I oczywiście stało się nieszczęście. Ledwo podniesiono wieko, wyleciały na świat wszystkie smutki, troski, nędze i choroby i jak kruki obsiadły biedną ludzkość.

Prometeusz chciał teraz bogom podstępem za podstęp odpłacić. Zabił wołu i podzielił go na dwie części: osobno złożył mięso, które owinął skórą, oddzielnie zaś kości, i nakrył je tłuszczem. Za czym poprosił Dzeusa: "Którą część weźmiesz, będzie odtąd bogom poświęcona". Dzeus wybrał tę, gdzie było więcej tłuszczu, domyślając się pod jego grubą warstwą najdelikatniejszego mięsa. Natychmiast przekonał się, że były to same kości, pokryte najgorszym tłuszczem. Ale wyrok był nie cofniony: te właśnie części zwierząt składano w ofierze bogom niebieskim.

Dzeus zemścił się okrutnie. Na jego rozkaz przykuto Prometeusza do skały Kaukazu. Co dzień zgłodniały orzeł zlatywał, by mu wyjadać wątrobę, która wciąż odrastała. Wokoło było pusto i głucho. Skazaniec nie słyszał głosu ludzkiego ani nie ukazywała mu się twarz przyjazna. Palony gorącymi, promieniami słońca, bez ruchu i spoczynku, trwał Prometeusz, niby wieczny wartownik, dla którego zawsze za późno przychodzi noc w płaszczu gwiazdzistym i za późno zorza poranku roztapia się w ciepłocie dnia. Jego próżne jęki spadały w przepaść gór jak martwe kamienie.

Prometeusz jest jedną z najwznioślejszych postaci w mitologii — bóg, który cierpiał przez miłość dla ludzi. Zanim do nich przemówił, byli jak ślepcy i brodzili w mroku, nie wiedząc ani o sobie nic, ani o świecie otaczającym, były im obce budowy kamienne, strzelające ku słońcu, nie znali sztuki ciesielskiej. Nie umieli powiedzieć, kiedy następuje kres zimy lub kwietnej wiosny albo jesieni bogatej w plony. Żyli jak mrówki w ciemnych jaskiniach, aż on im pokazał, gdzie wschodzą gwiazdy i kędy zachodzą. Dał im naukę o liczbach, najprzedniejszą wiedzę i objawił kunszt pisma, ten skarbiec pamięci i źródło poezji. Oswoił zwierzęta, konie zaprzął do wozu i na słone morze spuścił płóciennoskrzydłe statki. Dał chorym lekarstwa kojące i wynalazł zioła, które ból usuwają. W głębi ziemi wysledził

cenne metale i objawił, jak ze snu, lotu ptaków i głosów w przyrodzie odgadywać przyszłość. Prometeusz w człowieku rozbudził ducha i dał mu moc panowania nad światem.

Gdy zabrakło jego mądrego kierownictwa, ludzie, nękani cierpieniami, pełni żądz, których poskramiać nie umieli, stawali się źli i występni. Bogowie, ilekroć zeszli na ziemię, narażali się na zniewagi i obelgi. Na Olimpie mówiono, że winna temu zbrodnicza krew gigantów, którą przesiąknięta była ziemia, z jakiej Prometeusz ulepił ludzi. Gdy więc i Dzeusa spotkała śmiertelna obraza — król Lykaon poczęstował go mięsem ludzkim podczas wieczerzy — na radzie niebieskiej postanowiono wytepić ród ludzki potopem.

Wysłano wiatry, aby zewsząd pospędzały chmury. Z pierwszym gromem spadły wielkie deszcze. Morza i rzeki wystąpiły z brzegów. Najwyższe domy skryły się pod wodą. Nie było granicy między ziemią i morzem. Człowiek żeglował po polach, po których niedawno chodził za pługiem. Nereidy, zdumione i przerażone, pływały po ulicach miast zatopionych. Wszystko ratowało się bezładną ucieczką. Z białych fal wychylały się płowe grzywy lwów, a wilk prowadził trzodę owiec do nie istniejącej przystani. Ptaki znużone lotem, nie widząc nigdzie oparcia, spadały w głębinę. Ziemię zaległa cisza i pustka. Bogowie ze szczytów Olimpu słyszeli tylko oddech bezkresnego morza.

Najwyższe góry znikły. Ponad falami wyrastał jeden wierch Parnasu, w Beocji. Na bezbrzeżnym oceanie kołysało się nędzne czółno, a w nim drżało z trwogi dwoje staruszków: Deukalion i Pyrra. Ich słaby wzrok nie mógł ogarnąć całego bezmiaru klęski. Po dziewięciu dniach i dziewięciu nocach wędrowania czółno stanęło na szczycie Parnasu. Wody zaczęły opadać. Z wolna ukazywały się wzgórza, po nich wyższe płaszczyzny, wreszcie niziny pełne szlamu, w którym leżały trupy ludzi i zwierząt.

Pobożni staruszkowie zeszli do groty delfickiej, aby się dowiedzieć, co czynić należy. Chcieli bowiem w jakiś sposób ziemię na nowo zaludnić. Z wróżebnej pieczary postłyszeli głos: "Idźcie, twarze zasłoną przykryjcie i rzucajcie poza siebie kości waszej matki". Pyrra, która była córką Epimeteusza i Pandory, oburzyła się mówiąc, że niegodną jest rzeczą rozrzucać święte szczątki rodziców. Ale Deukalion, syn mądrego Prometeusza, zrozumiał, że bóstwo nie może doradzać złych uczynków, i tak sprawę wyjaśnił: wspólną macierzą wszystkiego, co żyje — jest ziemia, a kośćmi ziemi są kamienie.

Wyszli tedy na pole otwarte, twarze okryli zasłoną, odwiązali ze szat przepaski i tak idąc, krok za krokiem, rzucali poza siebie kamienie. A kamienie traciły zwykły kształt i twardość: zmieniały się w ludzi. Z głazów, ciśniętych ręką Deukaliona, powstawali mężczyźni, Pyrra zaś wywoływała z okruchów skalnych kobiety. Gdy się zmęczyli, usiedli, aby odpocząć. Dookoła świat się odnawiał. Z użyźnionej wielkimi deszczami gleby rodziły się

rośliny, ptaki i zwierzęta. Niezmierna, zielona puszcza przykryła ziemię, nad którą śpiewały skowronki, przelatywały bociany i jaskółki. Dopiero z wolna i gdzieś tam podnosiły się nieśmiało pierwsze osady. Budowało je plemię wyrosłe z kamieni, a więc zdutniejsze do życia, wytrzymałe na ból i trudy. Deukalion, jak patriarcha, chodził wśród swoich dzieci, nauczał ich rzeczy niezbędnych do życia, krzewił cześć należną bogom i stawiał świątynie.

Z okien dworzyszczą olimpijskiego Dzeus widział, jak świat dźwigał się do nowych przeznaczeń. Przekonał się niebawem, że ludzie, niepamiętni kary, jaka spotkała ich poprzedników, bynajmniej nie stają się lepsi, ale już więcej nie zsyłał na nich potopu.